Tom XVI. Nr. 9.

21. marca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podróż do Ziemi Świętej.

Opowiadanie braciszka klasztornego.

(Dokończenie.)

Napatrzywszy się tych miejsc, prosiliśmy przewodnika aby nam zamówił ludzi zbrojnych na wypadek spotkania z rozbójnikami, o których wam już mówiłem, że jest ich dość w górach, na drodze do Jerozolimy, dokąd dążyliśmy. Uciążliwą drogą po górach i skałach dostaliśmy się do Jerozolimy. Ujrzawszy to miasto święte zsiedliśmy z koni a upadłszy na kolana całowaliśmy tę ziemię krwią Chrystusa Pana skropioną, modląc się i łzy wylewając. Bo czy możecie wy pojąć kochani ludzie, wy co słyszycie tylko o Jerozolimie, tem miejscu gdzie Chrystus umarł z miłości dla nas, i myślicie może, że tych miejsc nie ma i śladu, czy możecie to pojąć, powtarzam, jakie szczęście ogarnia człowieka, gdy to miejsce nie tylko widzi namalowane w obrazku, ale na prawdę depce tę ziemię własnemi stopami, i całuje na niej święte ślady. Cud to wielki, że nie tylko to wszystko nie zaginęło, ale że tu wszędzie pobudowane są dla pamiątki kościoły i kaplice.

Najważniejszą rzeczą dla każdego pielgrzyma jest zwiedzić te miejsca, gdzie Chrystus Pan, niewinny baranek, przyjąwszy na siebie grzechy nasze okrutną męką i śmiercią dokonał ofiary. Nie raz czytałem Mękę Zbawiciela, lecz nigdy na mnie nie zrobiła takiego wrażenia, jak gdym krok w krok szedł za pamiątką tej męki i odszukiwał śladów ich krwawych. Zwiedziłem to wszystko zacząwszy od Wieczernika gdzie Chrystus żegnając się ze swoimi uczniami postanowił Przenajświętszy Sakrament. Z domu tego, w którym się Wieczernik znajdował, zrobili Turcy dom modlitwy dla siebie, co się meczetem nazywa. Wpuścili nas do środka za kilkadziesiąt centów — jest to duża ale pusta izba. Tu, także po Wniebowstąpieniu Pańskiem Duch Święty zstąpił na Apostołów; pojmiecie z jakim żalem patrzy się dziś na te świętości w rękach Turków będące. Z Wieczernika udał się Pan nasz do Ogrojca i ja tam w ślad Jego poszedłem.

Ogrojec jest to ogród nie duży; do dziś dnia pokazują w nim te same drzewa oliwne, które rosły jeszcze za życia Chrystusa. W grocie, w której się modlił i krwawym potem oblewał, wołając: „Ojcze nie moja ale Twoja wola niech się stanie", jest ołtarzyk mały, na którym odprawia się Msza Święta. Przy wyjściu z ogrodu oliwnego jest słup z napisem, że tu zdradzonego Jezusa żołnierze pojmali. Szedłem drogą gdzie płynął potok Cedron do domu Anasza, dziś zamiast niego, stoi tu kościółek mały, również i tam gdzie stał dom Kaifasza, a w ołtarzu jest ten sam kamień, którym był grób Chrystusa przywalony. Obok domu Piłata, tam gdzie stał słup, przy którym Zbawiciela biczowano, wybudowali pobożni także mały kościółek, ztąd idąc na Kalwaryę cierpiał Chrystus najsroższe męki. Droga prowadząca tam pełna pamiątek, każda stacya Chrystusa naznaczona kapliczką lub krzyżem, albo napisem w kamieniu wyrytym. Idąc tą drogą, zdało mi się, że widzę krew Chrystusa płynącą po kamieniach, że słyszę jęki wychodzące z ust jego Boskich, zdało mi się, że widzę Matkę boleśną w łzach całą — Weronikę i wiele innych niewiast jerozolimskich, a między niemi zgraję katów okrutnych. Płakałem nad cierpiącym Jezusem i nad grzechami naszemi, któremi od-

nawiamy mękę Jego. Doszedłszy na samą górę, rozweseliła się dusza moja na widok Golgoty. Ciężkie grzechy nasze, pomyślałem, ale Ty Boże Miłości coś tu umarł za nas, Ty nam je odpuścisz, byleśmy szczerze żałowali i starali się poprawić.

Na miejscu gdzie stał krzyż i gdzie grób był wykuty w skale, zbudowany jest ogromny kościoł. W ołtarzu przechowują relikwie: kawałek drzewa z tego samego krzyża, na którym Chrystus wisiał, i kawałek słupa, przy którym był biczowany. W kościele tym odprawia się codzień wielkie nabożeństwo z procesyą, która obchodzi wszystkie stacye męki. W miejscu gdzie stała Najświętsza Panna w czasie ukrzyżowania Chrystusa, wystawiono kapliczkę Matki Boleśnej. Upadłem w niej na kolana błagając tej Matki o litość dla wszystkich cierpiących, szczególniej dla naszych matek, sióstr i żon cierpiących także tak boleśnie na widok synów, mężów i braci, których męczą okrutnie syzmatycy Moskale. A Matka ta, która zna każdą boleść, nie opuści nas ale się wstawi modłami swemi do Syna swego za nami. W kaplicy grobu Świętego leży do dziś dnia kamień, na którym usiadł Anioł Pański po zmartwychwstaniu Zbawiciela. Pali się tam wielka ilość lamp złotych, dzień i noc trwa tutaj nabożeństwo. Grób służy za mensę w ołtarzu, na którym nieustannie odprawia się Msza święta, katolickiego i greckiego wyznania.

Obejrzawszy wszystkie świętości Jerozolimy, ruszyliśmy z przewodnikiem naszym do Betleemu o 2 godziny drogi odległego. Gromadka nasza wesoło śpiewała kolendy, i z niemi na ustach wjechaliśmy wązką uliczką do tego miasteczka — mieszkańcy jego kolorowo pstrokato ubrani kłaniali nam się uprzejmie. Najprzód pojechaliśmy na pole pastuszków, gdzie ich tak Anioł rozradował oznąjmując Boskiego dzieciątka narodzenie. Dziś pole to zasiane bujnym jęczmieniem.

Ztamtąd poszliśmy do groty Narodzenia, gdzie stoi najstarszy kościół w całej Ziemi Świętej fundowany przez Św. Helenę. Wśród kościoła są wschody, po których się wstępuje jak do piwnicy do stajenki; jest tu żłobek gdzie Najświętsza Panna złożyła Boskie dziecię, nad nim jest ołtarz do odprawiania Mszy świętej, kilkanaście lamp pali się tu nieustannie.

Miło mi było zauważać, że lud Betleemski, szczególniej kobiety odznaczają się uczciwością i skromnością; nigdy się tu nie dzieje nic nieprzystojnego. Snać szczególniejsza opieka Matki Przeczystej dziewicy czuwa nad tem miastem szczęśliwem.

Obejrzawszy te wszystkie świętości zabraliśmy się do odwrotu. Z niewypowiedzianym żalem żegnałem Ziemię Świętą tem słowem „na zawsze!“, cichą, serdeczną modlitwą i odśpiewanym hymnem „*Ciebie Boże chwalimy...*“

Żal mi było rzucać te miejsca tak święte jak nigdzie równych nie znajdziesz, spieszyłem jednak do domu, do kraju, do którego mi już bardzo tęskno było. Brakowało mi już wesołych wiosek polskich, spiewów polskich i was, kochani bracia moi; dopiero oddalony o tyle tysięcy mil od kraju poznałem jak to trudno obejść się bez ziemi rodzinnej, i z żalem pomyślałem o tych wszystkich nieszczęśliwych braciach naszych wypędzonych z ojczyzny.

Dziękowałem Bogu za szczęście jakiegom doznał na Ziemi Świętej, za podwójną ku niemu miłość, a obiecałem za to poprawić życie moje, kochać co raz więcej Boga i ludzi Spieszyłem do domu, więc wysiadłszy z okrętu nie zatrzymałem się nigdzie w niemieckim kraju i rozpocząłem dopiero tu na ziemi polskiej w celce klasztornej — witany radośnie od braci zakonnej — i od was ludzie kochani, którym to opowiadanie nie jedną łzę z oka wycisnęło.

O! na łzie nie przestańcie bracia mili, ale niech w sercach waszych rodzi się serdeczniejsza miłość, żywsza wiara, silniejsza nadzieja, niech się zrodzi szczera chęć do dobrego i mocne postanowienie poprawy życia; bo chcecież żeby ten Bóg dobry, który nas tak ukochał aż do śmierci krzyżowej, widząc, że my nie chcemy korzystać z owoców Jego męki zagniewał się na nas i odwrócił twarz swoją?

— Nie! nie chcemy! — zawołali wszyscy — chcemy Go kochać i chwalić, chcemy wszystko dobrze robić, jeno to człek taki, że aby i chciał, to znów się zapomni i źle zrobi.

— Źle robi i zapomina się ciągle — rzekł staruszek — jak pomocy Boskiej nie ma, bo o nią nie prosi, a z Boską pomocą to wszystko potrafi. To żeby Pan Bóg był z wami, ja

wam z serca życzę i żeby za łaską Jego dobrze się wam wiodło, błogosławię wam dzieci w Imię Chrystusa.

I wyciągnął starzec drżące ręce nad głowami wiesniaków, a oni się do kolan jego garnęli i ściskali je i całowali na podziękę i pożegnanie.

A panienka ucieszona przyjemnością, złączoną z użytkiem, jaką czeladzi sprawiła, kiwając im ręką zawołała:

— A teraz spać dzieci, bo już późna godzina, a jutro do żniwa wstać wcześnie musicie. Zabawiliśmy się dziś tak ładnie, trzeba dzień jutrzejszy ładnie przepędzić, chwaląc Pana pracą i spiewem na cześć Jego.

Modlitwa Pańska.

Przejęci wiarą, nadzieją, miłością,
Pod Twoje skrzydła garniem się z ufnością,
I jako dzieci wołamy do Ciebie:
Ojcze nasz! ojcze, który jesteś w niebie!

Wszystko, co z łaski Twej żyje na ziemi,
Winno Cię wielbić usty dziękczynnemi;
Toż głos nasz płynie w niebieskie podwoje:
Święć się o Panie! święć się Imię Twoje!

Nie ma tu dobra na Twym Boże świecie;
Złość nas szatańska i zła wola gniecie;
Toż odwróć od nas klęski, niepokoje,
Złam berło pychy — przyjdź królestwo Twoje!

Tyś na miłości zbudował Twe prawo,
Za miłość Syn Twój poniósł mękę krwawą;
Toż niech Twe prawo rządzi dziećmi Twemi:
Bądź wola Twoja w niebie — i na ziemi!

Błogosław pracy naszej Boże wielki!
Niech nam obfity plon niesie trud wszelki
Na roli serca i na roli chleba;
Daj nam o Panie! czego nam potrzeba!

Choćbyśmy ciągle pokutę czynili,
Nie zmażem tego cośmy przewinili;
Więc w miłosierdziu Twem ufni, wołamy:
Odpuść nam winy, jak my odpuszczamy!

Słabe są siły n°sze mocny Boże!
Toż niech nas w dobrem Twa łaska wspomoże!
Nie wódź nas pośród złudzeń świata tego
Na pokuszenie, ale zbaw od złego!
Amen!

Józef F.
Nauczyciel szkoły ludowej.

Ptaszki.

(Rozmowa księdza proboszcza z dwoma chłopcami.)

Już się miało ku jesieni, żniwa się skończyły, w pięknym dniu wrześniowym szedł sobie panicz z dworu przewiesiwszy strzelbę przez plecy, a lubiony od niego chłopak dworski Jaśko biegł koło niego kontent, że wyrwał się od roboty, pies Bryś należał także do kompanji i do spaceru. Szli ścieżką za gumienkami, skryli się za gaik brzozowy, słychać było wystrzał, nie długo drugi i wynurzyli się znowu chłopcy z psem z gaiku, a panicz niekontent dał strzelbę Jaśkowi i zwrócili ku wsi.

Blisko sadów spotkali księdza proboszcza, który mile uśmiechając się do witających zapytał:

— A co tam za polowanie odbywacie? coś nie widać zwierzyny?

— Wyszedłem na ptaszki — odrzekł panicz — ale jak na złość co wypatrzę, zmierzę, już nie ma ani jednego. Mierzyłem już na ostatek w całą chmurę wróbli i rozleciały się wszystkie.

— Na ptaszki więc polujecie? i cóż wam po nich?

— Gdyby więcej nastrzelać, byłby smaczny półmisek.

A Jaśko się oblizał, bo zjadł właśnie rano dwa gniazda małych wróbli, które wybrał w stodole.

— I zkądże wam przyszedł apetyt na te drobne stworzenia, co tak wdzięcznie spiewają, owady niszczą, wesoło gniazdka ścielą i żyją Bożą opatrznością! Stół wasz nie zbogaci się niemi, bo dzięki Bogu mamy mięsiwo, drób, ryby, które służą do naszego pokarmu; a zabić malutkie, niewinne stworzenie, aby sobie zabawkę zrobić i rzucić, to, powiem prawdę, okrutna zabawka. Pocóż odbierać życie, które nam nie jest potrzebne, a tak nam świat Boży umila i cieszy się swoją lichą dolą.

— Gdybyście poznali życie tych stworzeń skrzydlatych, przypatrzyli się ich sprytowi, ich miłości rodzicielskiej i małżeńskiej, ich gospodarstwu i naradom różnym, zrozumielibyście prawie ich głosy, któremi mówią do siebie i spiewają Bogu, i nie zabijalibyście dla zabawki maluczkich spiewaków.

I szedł ksiądz proboszcz polną drogą, słońce chyliło się ku zachodowi, z wierzb przydrożnych gwar ptasząt szumiał dziwnie wesoło swojemu obrońcy, a chłopcy szli koło niego z uszanowaniem i słuchali.

— Widzicie na tej srebrnej topoli kruka — zapytał znowu ksiądz proboszcz wskazując na lśniącą postać czarnego ptaka, kołyszącą się wśród rzęsnych liści wyniosłej starej topoli.

— Widzimy — odpowiedzieli, a Bryś spojrzał obojętnie do góry, jakby znał i nie dbał na takich nic potem.

— On tam siedzi na warcie i czuwa nad bezpieczeństwem całej gromady, która w tej chwili rozleciała się w tej stronie za żerem. To stary ćwik, na jego doświadczeniu polega cału banda. Podziwiajcie jego zmyślność! Oto koło topoli przechodzi dwóch gospodarzy, jeden z kosą świecącą do słońca, drugi z wiązką trawy z łąki dla koni. Kruk zupełnie spokojny, nic sobie z tego nie robi, zaczepia nawet prawie przechodniów, bo spuścił się z swojego stanowiska i porwał z przed nóg pewnie robaka, którego będzie jadł oszczędnie. Oho! już znowu na górze i wartuje.

I w tem zbliżyli się do topoli, krzyk dał się słyszeć, kruk się wzniósł w powietrze, cała gromada się zleciała i kołując niespokojnie wzbiła się i znikła.

— Widzicie — rzekł znowu ksiądz — co za rozum, co za doświadczenie, kruk zna się dobrze na palnej broni i spo-

strzegł między nami strzelhę, narobił krzyku, ostrzegł o niebezpieczeństwie i już kruki Bóg wie gdzie.

Nie mogli się chłopcy nadziwić sprytowi ptasiemu i rozmawiając szli dalej. Koło folwarku spostrzegli znowu chmurę jaskółek, tak wielką, aż poszarzało w powietrzu. Krążyły one w różne kola, krzyżowały się, świegotały, ćwierkały, krzyczały i hałasiły do odurzenia. Zadziwił się panicz szczególnie, co wychowany w mieście nie widział takich ptasich sejmów.

— Dziwisz się Józiu — rzekł ksiądz proboszcz — a wiesz że to jest wielka rada powszechna jaskółek? Chłód się czuć daje, robaczków mniej, trzeba się zabierać! trzeba szukać daleko ciepłego nieba i obfitszej karmy! Oto szwadrony podróżne, szykują się, urządzają. Najmędrsza już dała znak wychodu, ale niektóre się spóźniają, tymczasem rozprawiają, pewnie o drodze co ich czeka, o porządku podróży. Biedaczki! ileż z nich nie doleci do nowej ojczyzny, co ma ich od zimnej pory ochronić! Ileż z nich nie ujrzą już tego okna, tego komina, tej chaty, gdzie wisiały ich kolebki! Szczęście, jeżeli gdzie przyczepione do masztu okrętu będą mogły spocząć zmęczonym skrzydełkom i pewnej śmierci uniknąć! Ach! nie tylko jaskółeczki opuszczają nasz kraj! nasi spiewacy leśni już zmieniają nutę, bywajcie zdrowi malutcy muzykanci, słowiczki, wilgi, kosy, bywajcie zdrowe piosenki wiośniane! O uciekajcie błękitne sikoreczki, różowe gile; bo ani wasze śliczne piórka, ani spiewy wdzięczne nie ubłagają wam litości przed naszą siecią, naszym samotrzaskiem, naszą bronią! Daremnie głosicie waszą niewinność i wasze usługi, co świadczycie ludziom, uciekajcie, już nie będziecie pić dzióbkiem z kieliszka kwiatów, Józio głuchy na wasze prośby!.. Józio strzeli, błyśnie, trafi i spadnie biedna ptaszyna, najlepsza spiewaczka gajów! główka jej przechyli się, oczka zamkną, ani bronić ani mścić się nie będzie...

Spuścił oczy panicz, a dobre serce coś zapukało. Jasiek znowu nie spuścił oczu z twarzy księdza proboszcza i myślał że doprawdy ptaszyna zabita leci i kona, i żal mu się zrobiło dwóch gniazd wróbli, które rano skubał i piekł na kuchni

Uśmiechnął się łagodnie dobry ksiądz i mówił dalej:

— Przed Bogiem najmniejsze stworzeńko ma swoją wartość i swoje prawa. Jaskułki żyją towarzysko, kochają się między sobą i nigdy nadaremnie nie zwołują się w razie niebezpieczeństwa. Nauka to dla ludzi! Powiem wam przykład. Jedna młoda jaskółeczka zamknęła się przypadkiem w jednej wielkiej sali urzędowego budynku, do której zbierano się tylko co miesiąca. Służący, który miał porządek robić, wszedłszy po 3 tygodniach zadziwił się, obaczywszy jaskółkę żywą i zdrową; szukał wszędzie, ale nie mógł sobie wytłómaczyć czem jaskółka żyje. Ciekawy, schował się za szafę i wysiedziawszy cierpliwie godzinę, usłyszał wołanie, na które zaraz odpowiedział mały więzień. Po pierwszem wołaniu nastąpiło świergotanie ciche i czułe, jakby matka dawała jeść dziecięciu; sługa patrzy, a jaskółka wisi uczepiona w kąciku szyby, a z drugiej strony jaskółki przez dziureczkę, którą zrobiły przez kit u okna, dają jej jeść po kolei. Sługa wypuścił ptaszynę, a uczeni ludzie zapisali to w książki. Sikorki co tak w zimie śmiało pukają do okien, choć złe dla innych ptaków, dla siebie bardzo uczynne i grzeczne. Jedna z nich robiąc sobie gniazdo, uplątała się za nóżkę w przędziwo, które przyniosła, i latała biedna motając się, aż osłabła i zawiesiła się szamocząc i krzycząc u gałązki. W jednym momencie zleciały się sikorki wydając krzyki trwogi i zmartwienia, a po długiej naradzie jedna wymyśliła sposób wybawienia przyjaciółki i ażeby go pokazać drugim sama spróbowała pierwsza. Puściła się szybko i w pędzie uderzyła mocno dzióbkiem w przędziwo; wszystkie za nią, to samo robiły, robota szła szybko, przędziwo słabło, a w półgodziny tej poczciwej pracy, przerwało się, i sikorka uratowana siadła dysząc na gałęzi. Cały rój sikorek wtedy do samej nocy gwarzył i rozmawiał winszując sobie i rozpowiadając.

Jasiek się zaśmiał na całe gardło.

— A co tam za miłość dla dzieci! moje chłopcy, aż się człowiek rozczulić musi. Weźmy naprzykład kuropatwę. Robi ona sobie gniazdo na ziemi z kilku ździebeł suchej trawy, i nie tak sztucznie jak inne ptaki. Samiec razem z samiczką wysiaduje jaja, a gdy są już młode, oboje na przemian pilnują i jedzenie noszą. Zdarza się, że czasem strzelec za swoim

psem wytropią gniazdo, wtedy samiec wydaje krzyki i zaczyna biedz kulejąc, jakby był skaleczony wlecze skrzydła za sobą i wyzywa psa aby go gonił; pies też oszukany, myśląc że tuż tuż pochwyci zdobycz, ściga go zajadle i daleko. Tymczasem samiczka ucieka z młodemi w przeciwną stronę. Gdy samiec już miarkuje, że jego familia w bezpieczeństwie, podlatuje raptem, a pies łatwowierny z wielką złością traci go z przed nosa. I któż tego bi dnego ojca nauczył takiego wybiegu, którego by się człowiek nie powstydził? Któż wlał w niego taką czułość rodzicielską? Ja sam miałem raz w sadzie srokosza, który nie dał nigdy przejść spokojnie nikomu w pobliżu swego gniazda; na psa, na kota rzucał się z góry z niesłychaną odwagą i łajaniem i odprowadzał krzycząc aż do miejsca odległego. Pewnego razu usiadłem z książką pod gruszą starą, zkąd niedaleko było gniazdo srokosza: trudno opisać niepokój z jakim krążył nademną, siadał obok i naprzeciwko i krzykiem starał się mnie oddalić, nakoniec w rozpaczy rzucił się na moje ramię i przechylając się do ócz samych, bił skrzydłami i łajał mi, pogłaskałem ptaszynę i chciałem aby we mnie poznał przyjaciela, to też odleciał i usiadł cicho na gnieździe. A gołąbek, ten ptak rodzinnej miłości, jaki tkliwy, jaki pieszczotliwy dla swojej dziatwy! a jak dla parki swojej serdeczny! Miałem białego jak śnieg gołąbka, którego gołębiczka ukochana zginęła jakimś nieszczęśliwym wypadkiem, posmutniał, nie jadł, odął pierze i siedział ponury na pustym gołębniku, to trwało cały miesiąc; aż jednego poranku mój gołąb poleciał ku błoniom; cieszyłem się, że się rozweselił mój sierota, ale wieczór nie wrócił. Całe 3 miesiące nie widziałem go, aż pewnego dnia wiosny ujrzałem na dachu białego gołębia z drugim siwym; nie mógł biedak żyć samotnie i sprowadził sobie towarzyszkę, którą pewnie słodkiemi słowy zaprosił na swoje gospodarstwo.

— I takie to ptasie dzieje! a wszędzie takie przemyślne. W gorących krajach jest ptaszek maluczki jak dobra mucha, o przecudownych kolorach; nazywa się kolibryk, pije jak motyl w kwiatkach, wiesza stucznie delikatne bardzo gniazdeczko wyłożone puchem kwiatów na dwóch gałązeczkach, samczyk

kołysze swoje młode i wraz z matką znosi żywność, przylatuje i odlatuje; ale ma on tam strasznego wroga, ogromnie wielkiego, przebrzydłego pająka, co czycha na gniazdeczko kolibrów. Trzeba widzieć jak odważny kolibryk walczy z tym potworem trzy razy większym od siebie, nigdy nie ucieka, wyzywa go, zaczepia, kole dzióbkiem, rzuca się, chcąc koniecznie odwrócić go od gniazdka, bije się do upadłego, bije się na śmierć! ale cóż, maleństwo nie może nic zrobić, pajączysko szponem swoim łapie go za różową nóżkę, przyciąga, obwija silną nicią w koło skrzydełek i dusi w tym powijaczu okrutnym. Kolibryk ginie, a samiczka zamiast uchodzić nakrywa sobą gniazdeczko, ofiarując się na śmierć, aby ratować dzieci!

— A w lodowatej północy jest także ptak szczególnej miłości macierzyńskiej, z której człowiek korzystać umie. Jest to Ejder albo Edredon, gatunek kaczki, która sobie robi gniazdo na ziemi oblewanej wodami morza, pośród kilku kamieni skrytych w trawie. Samiec i samica robią oboje to gniazdo, a gdy skończone, samica wyściela go puchem obfitym, który sobie wydziera z piersi i skrzydeł. Trzeba wiedzieć, że puch tych ptaków jest bardzo poszukiwany i drogi. Samiec nie wysiaduje gniazda, a gdy matka leci po żywność, przykrywa jaja grubo tym puchem. Wtedy to ludzie idą i wybierają z gniazd kosztowny puch. Biedna matka zastawszy takie nieszczęście, obdziera sobie powtórnie pierze z piersi i wyściela puchem gniazdo. Ludzie znowu złość robią i zabierają wszystko pierze, a ptak nagi zupełnie nie ma już czem wyścielić dzieciom łoża. Dopiero wtenczas samiec obdziera swój puch i ścieli na nowo, a że puch jego pośledniejszy, ludzie już nie biorą go i zostawiają, aby młode nie przepadły i aby ród kosztownych dla nich ptaków mógł się rozmnażać i nowe zyski dostarczać. Wykłute młode matka wodzi nad morzem i znika z niemi.

— Ot widzicie dzieci jakie to obyczaje ptaków, jakie kochanie, jaka troskliwość. A któż by nie lubił i nie podziwiał tych spiewaków, tych budowniczych, tych cieśli! te gniazdka ich najrozmaitszej formy i sposobu, które lepią z miłością macierzyńską, godną Stwórcy, który dał tym istotom drobnym tyle zmyślności i czułości? Nie dręczcie ich, nie zabijajcie! Bóg je

żywi i czuwa nad niemi, dlaczegożby człowiek nie miał dla nich serca i litości!

Doszli już do probostwa. Józio przyrzekł sobie, że nie będzie strzelał ptaszków dla zabawki, a Jasiek, że z gniazd wybierać nie będzie. Ksiądz proboszcz pożegnał ich mile, a stado gołębi obległo go prosząc o wieczerzę. *B. E.*

Sprawa o łąkę.

Powiastka.

Było to kilka lat temu. We wsi Huszcza, z dawien dawna, w dostatku, spokoju, kochany od ludzi, strzeżony od Boga, mieszkał Wincenty Chutyło. Chudoby było dosyć, na zagonie plenilo, w stodole zawsze znalazłeś sporo ziarna. Walek ochotnie z każdym dzielił się darem bożym, miał też ogólne poważanie. Sąsiedzka przyjaźń najsłabsza, boć to powiadają, że u innych ludzi widzi się dźbło w oku, a u siebie i belki nie obaczy. Tu przecież Chutyło nie dopuścił nigdy żadnych swarów, owszem starał się, gdzie można, zejść z drogi choćby ze szkodą własną. Dziwnem jakiemś zdarzeniem, jakby go złe nasłało, przybłąkał się do wsi oberwus pijaczyna, niejaki Walek Malec. Z twarzy wyglądała mu przebiegłość, włosy kręcone świadczyły o filuterji, a już cała postawa jakaś była wygięta, pochyła, jak to zwykle u ludzi, co się płaszczą, chyłkiem chodzą w życiu. Kim był, zkąd przychodził, nikt nie wiedział, jednakże niektórzy utrzymywali, że Walek musiał sługiwać po dworach albo też gdzieś szlifował bruki w wielkiem mieście, gdyż inaczej, jakoś z pańska mówił, a nad miarę do kieliszka zaglądał.

Raz w Niedzielę, po mszy świętej i po kazaniu, ludowina zaległa karczmę na rozstaju i Walek też znalazł się między nimi. Zazwyczaj obcy kolnie w oczy każdego, przyglądali się też z pod oka nieznajomemu włóczędze i Malec nie bardzo się gniewał, bo jako człek obrotny wnet znalazł sposobność zaprowadzenia rozmowy.

— Cóż się tak przyglądacie — rzekł do pierwszego lepszego — nie widzieliście ludzi?

— E! bo wason coś nie tutejszy — odrzekł kmieć.

— Juści nie z boru, ale z miasta, ze Lwowa.

Na ten wyraz wszyscy od razu zwrócili nań uwagę.

— Tak, ze Lwowa — mówił dalej włóczęga. — Czy wy wiecie, co Lwów. Każdy dom to tak jak u was kościół, ulice jak trakt miejski, szerokie, piękne, a ludzi więcej jak na odpuście w Zebrzydowie.

— O! O! — rzekł stary gospodarz — gadacie niby sroka, skądżeby tylu się wzięło. Wiem ci ja, że tam dużo panów, pięknych domów i ładniej tysiąc razy jak u nas; nie jest przecież znowu nic tak dziwnego.

— Baj! baj! Durz ty siebie nie mnie, kiedy mówię że tak, to tak. Jeszcześ dobrze gęsi pasł, kiedym ja już był człowiekiem.

— A cóżeście tam robili, mój człowieku? — zawołali chłopi.

— Pisałem prośby biednym ludziom. — To mówiąc wstał, osadził się mocno na nogach i podniósł głowę, mierząc wszystkich wytrzeszczonemi oczami.

— To wy niby jak nasz pisarz albo wójt? co?

— Więcej jak wójt, bo do takich jak wójt nigdybym prośby nie pisał. Wójt? Ja mój dryblasie stary, znam naczelników, prezesów, radców!!

— Co ty mi bańdurzysz! E! majster, widzisz no go, tobie się zdaje, że kogoś wysadzić z chaty i z pola, tak łatwo jak wyrzucić kota za płot. Nie przeczę, że potrafię zrobić należycie wszystko, ale bratku, bez pieniędzy ani drgnę.

Taką prowadził rozmowę Malec zaznajomiwszy się dobrze z sąsiadem Chutyły. Kmieć Prebenda, zapominając przyjaźni sąsiedzkiej, upatrzył sobie ni z tego ni z owego pretensje do ogrodu Chutyły i temu wydrzeć go postanowił. Walek był frant nad franty i umiał badać ludzi, ryć w sercach, jak kret w ziemi; a co zamierzył, choćby pęknąć, musiał dokonać. Niech go tam! powiadają, że większe miłosierdzie Boże jak złość ludzka.

— Tak, pieniędzy braciszku, naprzód pieniędzy.

— Przecie dałem trzy ruble — rzekł pokornie Prebenda.

— Wiesz dobrze, że ludziom musiałem kupić wódki, zyskać świadków — przerobić niewiernych, a ja darmo gębą robić będę? zawołał Malec.

Prebenda, poskrobał się po głowie, zakasał poły, i z kieszeni wyciągnął woreczek — wyjąwszy papierek pięcioreńskowy, oddał go Malcowi. Zaiskrzyły się oczy Walka, ucałował gospodarza i rzekł.

— Jak powiedziałem, trzeba płot wyłamać od rzeki i puścić trzodę chlewną, niech *bonują;* wszak na własnym gruncie wszystko wolno.

— Zmiłujcie się, cóż powie Chutyło, toż mu wszystek rzepak poniszczą?

— Rób, jak mówię, kiedy nie rozumiesz.

— Bo widzicie sumienie.... — Głupiś! — ogród — twój, bo wyraźnie znać, że w tem miejscu dawniej stała stodoła; widziałeś dobrze te pale, co sterczą przy końcu ogrodu.

— Juścić sterczą, ale one z dawnego *foluszu,* co stał nad strugą. — Tem lepiej, będziemy upominać się o *folusz!* — E! moi kochani, niby Chutyło dziecko, żeby jak kto powie, oddaj mi ogród, oddał go zaraz.

— Głupiś! Słuchaj. Czy, dajmy na to, jak kupisz bóty i chodzisz w tych bótach, może ktoś ci powiedzić, że one nie twoje!

— Ba! jušci że nie. — A dla czego?

Chłop gębę otworzył, miarkując się jednak dodał.

— Ba! bo moje.

— Głupiś! Nie dla tego, że twoje, ale dla tego, że w nich chodzisz, że ich używasz.

— No, to co?

— A to, że jak do ogrodu wpędzisz trzodę, wszyscy będą gadać: kiedy wpuścił bydło, musiał mieć do tego prawo; potem znowu za kilka tygodni powtórzą: wpuścił raz, wpuścić może i więcej razy, a po miesiącu — powiedzą: Prebenda pasał trzodę na ogrodzie, więc używał ogrodu, zapewne jest jego właścicielem.

— Acha! rozumiem.

— Rozumiesz — więc za to kup wódki w dodatku.

Przed karczmą mnóstwo stało wozów, i ludzi też chmara cisnęła się do gródki szynkowej. Gwar, krzyk, przepijanie do

siebie wódką, czasami jakiś stuk niby pięści w stół, rozlegały się w izbie. Wielkie było zbiorowisko włościan, bo oto właśnie teraz wójt miał sądzić sprawę między Prebendą a Chutyłą o ogród. Walek zręcznie interes cały zagmatwał i dwóch sąsiadów z sobą straszliwie poróżnił. Dopóki Chutyło ustępował, Prebenda jakoś nie miał serca prześladować sąsiada, ale kiedy Wincenty sprzykrzywszy sobie wypędzanie trzody z ogrodu i ogradzanie coraz nowe, raz porwał się do Prebendy; tenże podbechtany przez Malca, prawdziwą kością stanął mu w gardle i wytoczył proces przez wójta

Wójt oznaczył dzień niedzielny. Malec widząc nie zbyt przychylne usposobienie gospodarzy, chciał drapnąć, ale mu nie pozwolono, owszem stanąć musiał w karczmie i być obecnym sprawie.

— No, Wincenty, cóż powiecie na swoją obronę? — rzekł wójt — kiedy Prebenda plótł trzy po trzy o palach z folusza, o jakichś tam pretensjach do ogrodu Chutyły; i przywoływał świadectwa kilku gospodarzy przekupionych przez Malca.

— Ha, niech się dzieje wola Boża odrzekł Chutyło — nie mam żadnych dowodów, tyle tylko, że ojciec mój, nawet dziad siedzieli na tym gruncie; przynajmniej wszyscy gospodarze to samo utrzymują. Nie jestem człek piśmienny, w książkach nie czytam, ale lubię spokój i sumienie mam czyste. Mam dosyć, niech ogród zabierze sobie Prebenda — krzywda ludzka zawsze bokiem wylezie.

— Ja nie chcę waszej darowizny — zawołał Prebenda. — Mój ogród i dosyć!

— No to zabierz — rzekł Wincenty — ale pamiętaj, że na duszy grzech zaciągasz.

— E! pilnujcie lepiej siebie.

Wójt pomyślał trochę i rzekł:

— Słuchajcie moi kochani! I Prebenda i Chutyło mają racją, bo jak jeden tak i drugi jednakie składają dowody. I co prawda, tak dobrze używał ogrodu Wicek jak i Prebenda; wreszcie ot, świadkowie nawet chcą przysięgać. Trudna zatem sprawa do rozstrzygnięcia; ale jeżeli zgodzicie się na sąd polubowny, to inaczej zrobimy. Wszyscy jak jesteśmy pójdziemy

na ogród, o którym mowa; Prebenda zaś, ponieważ utrzymuje, że jest prawym właścicielem — od strony łąki wejdzie po kładce, mówiąc głośno wyrazy:

„*Nie jak wilk do cudzej owczarni, nie jak złodziej do cudzego domu, ale jak swój do swojego ogrodu wchodzę, tak mi Panie Boże dopomóż.*“

— Jeżeli śmiało przejdzie całą kładkę i nie zająknie się, jego słuszność, jego prawda. Cóż na to gromada?

— Mądrze, bardzo mądrze odezwali się wszyscy — Prebenda tylko jakoś schmurniał i drapał się za ucho; ale kiedy Walek coś mu szepnął, odrzekł opryskliwie. — Wielkie rzeczy, to pójdę, cóżby zaś człek nie miał przejść kładki. Przejdę i pokażę temu... że to moje a nie jego.

Chłopi całą gromadą ruszyli z karczmy, wszystko oniemal wybiegło ze wsi patrzeć, jak Prebenda będzie przechodził przez kładkę. Mina przecież strasznie mu zrzadła i gdyby nie Malec, niezawodnie przyznałby słuszność Chutyle; nie chciał też narażać się na pośmiewisko ludzkie.

Wójt stanął tuż przy kładce, która prowadziła z łąki do ogrodu Chutyły, a po za kładką Prebenda i nieodstępny Walek. Kładka była z deski położonej nad głębokim a błotnistym rowem; ktoby zleciał, dobrzeby się objadł kałuży.

— No! Prebenda, dalej! Wchodź na kładkę i mów za mną: — Nie jak wilk do cudzej owczarni...

— Nie jak wilk do cudzej owczarni — rzekł, idąc zwolna Prebenda.

— Nie jak złodziej do cudzego domu —

— Nie jak zło... zło.. dzi.... iej!...iej!

Prebenda zachwiał się na nogach, chłopy w śmiech, a on też bach! w błoto po same uszy.

Jeszcze większy śmiech; biedne człeczysko gramoliło się a co się podniesie, znowu głębiej zapada — przecie z pomocą podbiegł Walek; obadwa unurzani dobrze wyleźli na brzeg.

— Widzisz mój bracie — przemówił wójt — jak mała rzecz, a jednakże sumienie nieczyste nie pozwoliło ci jej uskutecznić. Kto niesłusznie cudzego pragnie, wnet się o Bożą mękę rozbije.

Prebenda zawstydzony przeprosił wójta; z Chutyłą się po sąsiedzku ucałował i przyrzekł powrócić wszelkie straty; ale jakoś doradcy niegodziwego strawić nie mógł i jak się nie zabierze do Walka, dalej go okładać! Za jego przykładem poszła i gromada; niedługo ów pan lwowski zmiatał, gdzie pieprz rośnie. Sąsiedzi przeprosili się i odtąd żyją w najlepszej zgodzie.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.